GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MAJA 1933
NR. 9 ROK III

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 9
1933 R.
1 — V

ZDARZENIA i POGLĄDY

SPADEK DOLARA.

Spadek dolara jest jedynem w swoim rodzaju wydarzeniem w historji pieniężnej świata. Nie był on wywołany żadną koniecznością natury zewnętrzno — lub też wewnętrzno - gospodarczej, lecz jest czysto politycznem posunięciem obmyślonem na zimno i wprowadzonem w czyn z rozmysłem. Rząd Stanów Zjednoczonych nie zadawał sobie kłopotów nawet z zachowaniem pozorów. Wydał w dniu 19 kwietnia b. r. zakaz wywozu złota na cele podtrzymywania kursu dolara, znajdując się w posiadaniu największego zapasu tego metalu na świecie, w chwili gdy ilość wolnego złota przekraczała 1 miljard dolarów, w okresie dodatniego bilansu płatniczego i handlowego, po zredukowaniu do bardzo niskiego poziomu sumy obcych kapitałów, zaangażowanych na amerykańskim rynku pieniężnym i, — co najważniejsze — wkrótce po obniżeniu stopy dyskontowej z 3½% na 3%. Dolar spadł w okolicznościach będących po prostu przeciwstawieniem tendencyj, które spowodowały załamanie się funta we wrześniu 1931 roku. Względy, które skłoniły prezydenta Roosevelta do tak radykalnego i nie podyktowanego żadną koniecznością gospodarczą kroku, są podwójnej natury: zewnętrzno - i wewnętrzno - politycznej. Mimo oburzenia, jakie puszczenie dolara luzem wywołało w Anglji, która za jednym zamachem traci rezultaty swych przeszło półtorarocznych usiłowań ustalenia właściwego parytetu gospodarczego funta, a również i we Francji, która pozostała dzisiaj jedynym wielkim złoto-walutowym krajem na świecie, jesteśmy skłonni przypuszczać, że dużo większą rolę przy powzięciu omawianej decyzji odegrały względy natury wewnętrzno - politycznej.

Olbrzymi spadek cen stał się niezmiernym ciężarem dla nadmiernie zadłużonego życia gospodarczego Stanów Zjednoczonych. Bez załatwienia problemu oddłużenia niema tam podobnie jak i gdzieindziej na świecie możności przywrócenia przedsiębiorstwom rentowności i ponownego zatrudnienia olbrzymich ilości bezrobotnych nie tylko rąk ludzkich, ale i kapitałów. Oddłużenie to mogłoby nastąpic trzema różnemi drogami: najwłaściwszą poprzez reorganizację, fuzję, ewentualnie bankructwa i likwidację względnie też przewłaszczenie nadmiernie zadłużonych przedsiębiorstw; następnie przez redukcję oprocentowania ewentualnie części kapitału dłużnego w drodze aktów ustawodawczych; po trzecie przez zmniejszenie wartości jednostki pieniężnej w drodze posunięć inflacyjnych przy równoczesnej anulacji klauzuli złota towarzyszącej umowom.

Psychologji i tradycji amerykańskiej odpowiada najwięcej pierwsza metoda, najbardziej zaś obcą jest druga. Proces likwidacji przerostów gospodarczych jest tem łatwiejszy im wcześniej się zacznie. Został on w Ameryce niesłychanie utrudniony kilkuletniemi usiłowaniami sztucznego utrzymania względnie przywrócenia „prosperity", która w umysłach amerykańskich stała się jakgdyby ich nieodłącznem dziedzictwem. Przeprowadzenie tego procesu dzisiaj musiałoby być połączone z tak

*) Ze względu na wagę sprawy spadku dolara, artykuł poniższy zamieszczamy na miejscu, gdzie zazwyczaj drukujemy artykuły redakcyjne.

olbrzymiemi przewrotami w strukturze finansowej całych grup, najpotężniejszych nawet przedsiębiorstw, że słusznie zupełnie wzdragają się one przed tem. Wobec naturalnej zupełnie w takim kraju jak Ameryka awersji do wkraczania ustawodawcy w stosunki między wierzycielem a dłużnikiem, pozostała jako droga pośrednia inflacja. Nastroje inflacyjne rosły też w Stanach Zjednoczonych oddawna. Przycichły chwilowo, gdy ratowanie systemu bankowego stało się nieodpartym nakazem, po zażegnaniu jednak największego niebezpieczeństwa, wybuchły z tem większą siłą. Sam zakaz wywozu złota nie może wobec wspomnianej na wstępie silnej sytuacji finansowej kraju zepchnąć zbyt nisko kursu dolara ani też tem bardziej podnieść cen. W tym ostatnim zwłaszcza celu musi nastąpić zwiększenie siły kupna w rękach ludności. Wszystko też wskazuje na to, że rząd amerykański ma zamiar przeprowadzić to zwiększenie. Zarówno sfery rządowe jak i parlamentarne występują raz po raz z coraz to nowemi projektami. Projekty te mają na celu daleko idącą pomoc dla rolnictwa, na wielką skalę obmyślane roboty publiczne itp. Każdy z nich wymaga miljardów środków finansowych. Środki te mają być uzyskane drogą emisji obligacyj, dla których przygotowuje się oddawna grunt przez odpowiednie ustawodawstwo, rozszerzające wybitnie zdolność emisyjną instytucji centralnej. Jeżeli nie doszło jeszcze w Ameryce do inflacji, to tylko dlatego, że rosnący obóz inflacyjny wyłamujący się z pod kierownictwa obu partyj nie zdobył się jeszcze na żaden wspólny program, jak tę inflację przeprowadzić.

Lepiej jest jednak nie przesądzać rozwoju wypadków, który jest w obecnej sytuacji zupełnie nieobliczalny. Możliwości są następujące: Najpomyślniejszą z nich jest, że szybko dojdzie do ugody stabilizacyjnej między Anglją a Ameryką, o ile Anglja zrozumie, że nie posiada monopolu na dewaluację, Ameryka zaś nie będzie stawiała wygórowanych żądań w stosunku do parytetu, na którym funt miałby być ustalony w odniesieniu do dolara. Najgorszą ewentualnością byłoby, gdyby doszło do wyścigu dewaluacyjnego poszczególnych państw świata, który mógłby zmusić pozostałą resztę krajów do odstąpienia od waluty złotej. Pociągnęłoby to za sobą prawdopodobnie jeszcze silniejsze odgrodzenie się gospodarcze poszczególnych państw od siebie niż to ma miejsce obecnie z idącem za tem pogłębieniem istniejących trudności. W pośrodku leży cały szereg warjantów niemożliwych do wyliczenia, a zależnych od kształtowania się stosunków w okresie przejściowym, od niezdecydowanej inflacji do zdecydowanej stabilizacji walutowej.

Polska jest nadzwyczaj żywo zainteresowana w ewentualnym przebiegu wypadków. Pamiętając żywo klęski inflacji prowadziliśmy przez kilka lat nadzwyczaj ortodoksyjną politykę walutową i poddaliśmy się dobrowolnie wszystkim po kolei utrapieniom konsekwentnie stosowanej deflacji. Musieć wkońcu po tem wszystkiem odstąpić od waluty złotej znaczyłoby to poniekąd stracić ciężko zasłużone owoce niewątpliwych poświęceń. Nie można jednak zamykać oczu na odwrotną stronę zagadnienia, polegającą na tem, że deflacji bez końca bez groźby zupełnej ruiny gospodarczej prowadzić nie można. Znajdujemy się obecnie niewątpliwie w niewielkiej odległości od końca możliwości stosowania polityki deflacyjnej, zarówno ze względu na katastrofalnie niski stan produkcji i obrotów gospodarczych jak i niezupełnie rozwiązaną sytuację budżetową Skarbu Państwa. Konieczność ożywienia ruchu inwestycyjnego staje się w takiem położeniu rzeczą niemożliwą do zaprzeczenia. Mieliśmy jednak ręce związane zupełnie słusznemi obawami o losy złotego. Zbliżaliśmy się równocześnie stopniowo w miarę wyczerpywania się naszych szczupłych środków do chwili, w której obawy te musiałyby ustąpić wobec siły wyższej. Spadek dolara posiada dla nas już w obecnej chwili tę niezaprzeczalną korzyść, że nastąpił w okresie niezachwianej stałości złotego. Jeżeli w najgorszej ewentualności światowego wyścigu dewaluacyjnego będziemy musieli złożyć broń, złożymy ją z honorem. Tymczasem należy mieć nadzieję, że ewentualność ta wogóle nie zaistnieje i że przeciwnie, — spadek dolara stanie się tym potężnym impulsem, który zmusi oporne dotąd siły do międzynarodowej kooperacji w kierunku stabilizacji walutowej, załatwienia problemu długów wojennych oraz zlikwidowania zgubnego systemu autarkji gospodarczej. Wówczas nadszedłby dla nas okres, w którym możliwem byłoby znaczne ożywienie ruchu inwestycyjnego w kraju przy zachowaniu wszystkich dotychczasowych korzyści płynących ze stałości waluty.

K. Studentowicz.

KAMIL OSTASZEWSKI

ZAGADNIENIE WŁĄDZ KOLEGJALNYCH

Członkowie Władz Kolegjalnych mogą wpływać na przedsiębiorstwa, ale z małym skutkiem.

Zagadnienie władz kolegjalnych przemysłu, z istoty swej niezmiernie zawiłe, nigdy w powszechnem zrozumieniu docenianem nie było. Przeciętny inteligent, ba, częstokroć i kupiec, nie odróżnia kompetencji Rady Nadzorczej od uprawnień Rady Zarządzającej; nie odróżnia znaczenia Dyrektora w średniem przedsiębiorstwie od funkcji Zarządu w wielkiem. Celem moim jest zagadnienie to postawić.

Tutaj oświetlać je będziemy jedynie z punktu widzenia gospodarczego, pomijając stronę polityczną lub moralną, pomni zasady, że nietylko człowiek, ale i problemat musi być postawiony na właściwem miejscu.

Do zagadnienia władz kolegjalnych podejść można z trzech stron:

1) Od strony roli jaką jednostka może odegrać we władzach kolegjalnych; jak jej rola może się odbić na działalności przedsiębiorstwa?

2) Od strony stosunku jednoosobowego kierownika firmy do nadrzędnych władz kolegjalnych?

3) Od strony zagadnienia, czy przez delegowanie swych przedstawicieli do organów kolegjalnych inne jednostki prawne mogą uzyskać wgląd w sprawy i istotne kierownictwo nad brzegiem interesów podległych firm, w których nie mają większości?

Oświetlone z pierwszego p. widzenia zagadnienie organów kolegjalnych jest stare jak idea kolegjalności. Upada ona po kolei w wojsku, (XV, XVI) w administracji publicznej (XVIII w.) i utrzymuje się z powodzeniem jedynie w rozwiązywaniu naukowych i sądowych badań. Wszechstronne oświetlenie, wielokrotne omówienie, reasumpcja decyzji rewizja poprzednich rezultatów tam są wskazane gdzie koniecznością jest wykrycie absolutnej prawdy; tam są dopuszczalne, gdzie żadna przyczyna nie każe rozwiązywać zagadnienia w określonym terminie.

W tych organach kolegjalnych jednostki silniejsze ,obdarzone ostrzejszym wzrokiem, lepiej orjentujące się w ludzkich charakterach, znające dokładniej zagadnienia narzucają kolegom swoje zdanie Czasami poprostu człowiek bardziej pracowity potrafi przeorać zagadnienia, które jego kolegom nawał innych zajęć kazał odłożyć na później, a następnie jego opracowanie staje się podstawą dalszej pracy całego kolegjum. Jeżeli jeden z członków kolegjum jest i pracowitszy i zdolniejszy od innych zdanie jego staje się miarodajnem dla całego kolegjum, chyba że miłość własna, jego kolegów każe im coute que coute być odmiennego zdania.

Odnosi się to do wszelkich kolegjów, a więc i do władz przemysłowych. Tutaj bywają jednakże rozmaite alternatywy:

a) kolegjum jest małe. 3-ch, 5-ciu panów może pomiędzy siebie podzielić zakres zagadnień do rozwiązania. Mamy wówczas normalną Radę Zarządzającą z podziałem funkcji. Pozostałością historyczną tego okresu były statuty spółek akcyjnych, gdzie obok stanowisk członków Rady Zarządzającej istniały stanowiska ich zastępców, supleantów.

Z biegiem czasu zakres podzielonych funkcji się zaciera, niektóre zagadnienia przestają istnieć, powstają nowe i z Rady Zarządzającej pozostaje Dyrektor Zarządu, który jednoosobowo pełni funkcje kierownicze i Rada, niesłusznie już wtedy zwana Zarządzającą, która pełni dwie funkcje: organu doradczego oraz ciała, które dzieli z Dyrektorem odpowiedzialność. Posiedzenia Rady, która wskutek rozrostu przedsiębiorstwa (fuzje z pokrewnemi firmami) lub rozrostu rodziny albo rodzin kilku pierwotnych wspólników - akcjonarjuszy, z których każda linja chce bronić swych interesów we władzach spółki) mogła się bardzo rozrosnąć — są coraz rzadsze. Rozwój władz kolegjalnych zbliża nas do alternatywy:

b) Kolegjum jest duże. Liczy kilkanaście do trzydziestu osób. Ciało takie nie może rozmawiać o bieżących zagadnieniach. Każdy członek może tylko przemawiać: — stawiać tezy, przytaczać argumenty, przekonywać oracjami przeciwników o słuszności swojego stanowiska. Nie przypominam sobie abym znał wypadek przekonania kogokolwiek w takiem ciele i zmiany jego poglądów.

Natomiast łatwo zmieniają się poglądy przy zakulisowych targach. Stają się one nieodłącznym atrybutem Rad wieloosobowych, które wówczas zarządzać nie mogą. Mogą jedynie nadzorować, gdyż zarządzanie wymaga zawsze szybkiej i, energicznej decyzji.

Rada jednak, chcąc zarządzać, wyłania ze swego grona komitet wykonawczy. Do niego stosuje się to wszystko, cośmy powyżej powiedzieli o małej Radzie Zarządzającej. Reszta pełnej Rady pełni wówczas, nolens volens, funkcje nadzorcze.

Ale wielka Rada może zrezygnować z zarządu i ukonstytuować się jako Rada Nadzorcza, badająca zarządzenia Dyrekcji ex post. Jedyną funkcją zarządzającą Rady Nadzorczej byłoby wówczas zawieranie przez jej Prezesa umów służbowych z zarządem, oraz usuwanie zarządu, gdyby rezultat nadzoru był ujemny.

Otóż wracając do pytania sub 1. Jaką jest rola jednostki w organach kolegjalnych, po powyższem oświetleniu odpowiedzieć możemy:

Duża w małej Radzie Zarządzającej, większa w Komitecie Wykonawczym. Największa, o ile stoi za niemi sankcja głosów na Walnem Zgromadzeniu. W obu wypadkach pewien wpływ na bieg interesów może być wywarty.

Zasadniczo skromniejszą musi być rola jednostki w Radzie Nadzorczej. Może coprawda i ta Rada wydelegować jedną lub kilka osób do wglądu i stałego nadzoru nad biegiem interesów, ale funkcje ich

wówczas byłyby jednoznaczne z funkcjami stałych rewidentów, inspektorów, buchalterów przysięgłych ekspertów, technicznych etc. Rada więc te rewizje taniej i skuteczniej dokona przez odpowiednio wykształcony i rutynowany personel wynajęty, niż przez improwizacje swych członków. Jeśli więc Rada Nadzorcza nie zorganizuje swego, od Dyrekcji niezależnego, biura inspekcji, to rola jej musi się zredukować do zaakceptowania danych Dyrekcji. Zaakceptowanie może się odbyć nie w ostatniej fazie — nie koniecznie jako podpisanie gotowego bilansu; może bilans zostać przerobiony ale cyfry jego zasadnicze będą jednak zbudowane na danych, otrzymanych od Dyrekcji. A jeśli nadzór ma się rozciągnąc na zagadnienia techniczne, robotnicze, handlowe, to rezultatem będzie albo przeszkadzanie w pracy, albo kontrola wykaże zło wtedy dopiero, gdy ono będzie już jasnem i dla dyrekcji. Rada Nadzorcza pozbawiona własnych organów inspekcji musi w końcu ,albo usunąć Dyrekcję i wywołać tem chaos, albo nolens volens postawić swoje placet pod tem co dyrekcja zrobi.

Łudzić się, że będzie inaczej można, — nawet z powodzeniem, o ile Dyrekcja składa się z ludzi słabych, a we władzach nadzorczych są jednostki wybitne. Wówczas jednak, wbrew nazwom, one będą dyrekcją, a „Dyrekcja" tylko wykonawcą ich dyrektyw.

Pomimo to, wielokrotnie i powszechnie wierzy się w skuteczność Rad Nadzorczych, jak przez stulecia wierzono w skuteczność wysyłania wrogów na tamten świat za pomocą nakłuwania woskowej laleczki, która ich wyobrażała. Stulecia nietylko uciekały się do tego zabiegu, ale był on nawet karany. Wiara w niebezpieczeństwo zabiegu na woskowej laleczce uniemożliwiało empiryczne zbadanie zagadnienia i przesąd trwał. Podobnież trwa wiara w skuteczność działania jednostek delegowanych do władz nadzorczych.

Jeżeli do zagadnienia władz kolegjalnych podejść od strony wspomnianej sub 2., to musimy tu rozróżnić dwa pokrewne zagadnienia:

a) jak zredukować do minimum przeszkadzanie Dyrekcji w robocie przez członków władz nadzorczych?, oraz:

b) jak wykorzystać najlepiej dla przedsiębiorstwa stosunki i konneksje osób zasiadających we władzach kolegjalnych.

Zagadnienie a) rozwiązywane jest przeważnie przez niewtrącanie się Rady w bieg spraw firmy. Dla dyrekcji istnieje jedna tylko droga: dyplomatyzować i zażyć każdego z radców o jakiem takiem zdaniu i znaczeniu we właściwy sposób. Nie każdy dyrektor może sobie pozwolić na postawienie sprawy à la śp. Jasiukowicz, który natychmiast po uzyskaniu od swej władzy nadzorczej kredytów na budowę nowego wielkiego pieca wyprowadził ich po posiedzeniu na hutę i pokazał ów piec już wystawiony. W wyjątkowych tylko okazjach może dyrektor stawiać bezkarnie władze nadzorcze wobec faktów dokonanych. Przeważnie wskazanem jest uprzedzanie kilku z nich conajmniej o swych zamierzeniach: formalnie uzyskiwanie ich decyzji, będącej w istocie tylko placet dla decyzji dyrektora.

Druga strona, zagadnienie b) staje się właściwie celem dla którego istnieje organ nadzorczy. Zaprasza się do Rady rozmaitych panów poto, ażeby w przyjemnej i przyjętej w pewnych środowiskach formie płacić im za wytwarzanie nastroju przychylnego dla danego przedsiębiorstwa. Wykonanie tego samego zadania przystoi członkowi władzy nadzorczej, a nie przystoi temuż człowiekowi o ile ma za swą działalność uzyskać wynagrodzenie bezpośrednio. Zaprasza się do władz nadzorczych np. krewnych przyszłych kredytodawców ażeby w rodzinie robili przychylny nastrój dla spółki, która zamierza zwiększyć swe zadłużenie. Zapłaty za te starania, nie należąc do władz spółki nie wypada mu w takim wypadku przyjąć. W podobny sposób stwarza się nastrój nietylko w bankach. Czasem idzie o porozumienie długotrwałe pomiędzy przedsiębiorstwami, — porozumienie możliwe jedynie w atmosferze wzajemnej przychylności. Funkcja członka władz nadzorczych staje się łudząco podobną do roli wielkich senatorów pomiędzy wojnami punickiemi, a początkiem rozkładu cesarstwa. Jak przyjaciel Cicerona — Atticus — nadzorował działalność wielu societates publicanorum i przez swoich klijentów, wyzwoleńców a nawet niewolników prowadził rozmaite geszefty, jak potem za Kommodjusza szambelan cesarski, Karpophorus przez Kaliksta, późniejszego biskupa rzymskiego, prowadził interes bankierski, tak i dziś niejedna lordowska fortuna wyrosła z pomocą spółek akcyjnych, kierowanych przez wynajętych dyrektorów; a dzisiejszy Atticus czy Karpophorus ogranicza swą działalność do zasiadania we władzach nadzorczych i sprawiania przychylnego nastroju mas, czy władz, dla danego przedsięwzięcia. Zaproszony dla swego wpływu i znaczenia, jakiem się na danym rynku cieszy, do władz spółki potrafi on nie zawsze wpłynąć na poprawienie jej interesów. Prawie zawsze jednak z jej pomocą na poprawienie interesów swoich.

A jeżeli został on wydelegowany przez kogoś trzeciego do władz podległej spółki; jeśli podejdziemy do zagadnienia od strony 3, to jaką rolę mogą Członkowie Rad odegrać i czy organizacje delegujące: rząd, samorząd, banki czy inne firmy, mogą przez nich uzyskać wpływ na podległe jednostki, o ile nie mają w ręku narzędzia presji?

W żadnej dziedzinie niema tyłu okazji do zrobienia fałszywych posunięć i do postawienia swych delegatów w kalekiej sytuacji, co w tej właśnie.

Delegowany przez A do władz B radca może albo nie mieć wcale zlecenia albo mieć zadanie inspekcyjne, albo wręcz może mieć polecone przeprowadzenie pewnych posunięć; te ostatnie mogą być natury gospodarczej, technicznej, lub administracyjnej.

W pierwszym wypadku mandat jest synekurą. Tak też jest najczęściej rozumiany. I tak musi być rozumiany o ile przy nadawaniu go nie zaznaczono wyraźnie, że związany jest z określonem zadaniem. Zdarza się, że od synekurzysty żąda się znienacka zdania sprawy dlaczego nie przeprowadził w nadzorowanem przedsiębiorstwie takich a takich reform. Następuje to przeważnie wtedy, kiedy przy desygnowaniu mandatarjuszom o tych reformach nie mówiono, lub gdy nie zdają sobie sprawy autorzy zarzutów, jak głęboko poszczególni członkowie władz nadzorczych mogą — oficjalnie lub zakuliso-

wo — ingerować w sprawy nadzorowanych przedsiębiorstw.

Inaczej jednak, o ile mandat radcy związany był ze zleceniem określonem.

Przy zleceniu inspekcyjnem, zleceniodawca musi sobie jasno zdawać sprawę, że fachowy badacz załatwi inspekcję sprawniej i pewniej, aniżeli radca. Po pierwszych próbach badań przez powierników zapoczątkowały Niemcy przez Notverordnung z 19. 9. 1931 nową fazę rozwojową przez ustawową konieczność badania nietylko księgowości ale i działalności spółek akcyjnych przez „Wirtschaftsprüfer". Działalność ich, choć krótkotrwała wymaga jednak szczegółowego omówienia.

Przy zleceniu handlowem (poziom cen, program produkcji), administracyjnem (usuwanie funkcjonarjuszy innej narodowości lub przeorganizowanie administracji)albo technicznem (przejście na proces wytwórczy w/g patentów delegującej spółki) działalność radcy może być o tyle skuteczną, o ile za nią stoi możność presji ze strony instytucji delegującej.

A przy tej presji, musimy się zastanowić, czyż potrzebna jest osoba radcy? Czyż presja wywierana przez instytucję delegującą nie wystarczy ażeby osiągnąć pożądane cele — bez stawiania radców - mandatarjuszy w fałszywej sytuacji. Z jednej strony, jako delegaci instytucji A, dającej im mandat służyć muszą jej interesom i dbać o takie posunięcia dyrekcji B, ażeby zadość uczynić potrzebom mandanta, z drugiej zaś, jako członkowie władz nadzorczych spółki B, mają oni obowiązek dbania o interes tej spółki. Wrazie konfliktu interesów muszą oni wobec jednej lub drugiej strony postąpić nielojalnie.

Belgijskie prawo, w art. 60 ustawy o spółkach akcyjnych wyraźnie pozbawia w razie konfliktu interesów, zainteresowanych radców, prawa głosu na posiedzeniu przy omawianiu odnośnego punktu. Nie przeszkadza to jednak użycia presji inną drogą. Ustawa polska daje, w razie majoryzacji, przedstawicielom mniejszości, prawo odwoływania się do Walnego Zgromadzenia, a od uchwał tegoż do Sądu Okręgowego, który może uchwały odnośne zawiesić.

Czyż więc radca z „mandat impératif" jest instytucją zdrową? Wszak prawodawca w ustawie zgóry uniemożliwia przeforsowanie przez niego zleconych zadań, o ile sprzeczne są z interesem spółki B, a jeśli za nim nie stoi sankcja mocodawcy, to największy talent dyplomatyczny może zawieść przy przeprowadzaniu reform, nawet dla spółki korzystnych.

Inaczej się rzecz przedstawia, o ile obie strony rozumieją potrzebę tych reform. Ale w takim wypadku ja nie rozumiem potrzeby radcy z określonym mandatem.

Radca delegowany przez inną instytucję może wpływać — ale drogą zakulisową, jak każdy inny funkcjonarjusz tej pierwszej instytucji. Jeśli dostaje mandat w spółce nadzorowanej, zamiast zwiększenia pensji w instytucji delegującej, to takie posunięcie przypomina zasadę Karola X Gustawa, palatyna dwóch mostów, króla szwedzkiego: „Zwyciężać i koszt zwycięstwa przerzucać na zwyciężonych".

Ale kto gospodarkę chce rozumieć jak Cato starszy: jako bezwzględny wyzysk i wyciśnięcie wszystkich soków z eksploatowanego „fond de commerce" ten spodziewać się musi, że kiedyś wyschnie źródło z którego żyje, te podcięte drzewa przestaną dawać owoc, że wyeksploatowane prowincje przestaną zasilać Rzymskie imperjum, że spółki podległe, wypompowane z potrzebnego im kapitału obrotowego lub narażone na zbędne straty, staną się nie źródłem dochodu, a ciężarem dla instytucji nadrzędnych, które je opanowały delegując swych ludzi do władz nadzorczych, przejmując na siebie oficjalnie, acz nie formalnie, część odpowiedzialności. A jednak?

A jednak wbrew logice, wbrew dotychczasowym rezultatom, obsyłanie spółek podległych przez swych funkcjonarjuszy, czy mandatarjuszy nie ustaje. Musi tu więc działać inna, nie koniecznie świadoma, przyczyna. Życie idzie z nieubłaganą konsekwencją, często wbrew woli działających ludzi od jednych form ku innym. W dziedzinie gospodarczej oscyluje ona pomiędzy kapitalizmem, gospodarką pieniężną, związaną z liberalizmem i demokracją (często w formie monarchji nawet) a gospodarką naturalną, bezpieniężną, związaną z feodalizmem i oligarchją (nawet w formie republikańskiej).

Zagadnienie władz kolegjalnych acz niezrozumiałe z punktu widzenia interesów spółek podległych, ciekawe jest jako objaw fazy rozwojowej — jako objaw metod, któremi dzisiejsza oligarchja stwarza formy współczesnego feodalizmu. Ażeby znaleźć analogje trzebaby cofnąć się o kilka tysiącleci, do czasu gdy z rozkwitu kapitalizmu w świecie starożytnym poprzez czynniki czysto gospodarcze w III i IV wieku powstaje oligarchja agrarna, oraz państwowe monopole przemysłowe.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

ŚWIATOWE ROZSTRZYGNIĘCIA

W coraz bardziej komplikującym się chaosie kryzysu światowego wyłania się coraz dobitniej jako główna przyczyna w automatycznem likwidowaniu się przerostów, pozostałych z lat wysokiej konjunktury, obrona wysokiego „standard of life" społeczeństw wysokokapitalistycznych.

Kiedy się czyta prasę światową, piszącą na temat ostatnich wypadków, zachodzących na terenie międzynarodowym, widzi się, jak każdy bez wyjątku artykuł kończy się stereotypowemi nieomal zakończeniami w rodzaju: „il serait téméraire de vouloir le prédire", „wait and see", „es ist abzuwarten ob..." itp. formułkami, znamionującemi zupełną niepewność sytuacji i brak orjentacji co do możliwych rozwiązań. W tych warunkach kusić się o sformułowanie syntezy sytuacji gospodarczej świata równa się niewątpliwie — czystemu niepodobieństwu. Dlatego też nie próbujemy nawet w naszych uwagach, które nastąpią, stawiać jakichkolwiek dogmatów. Poprostu piszemy o tem, co się na świecie dzieje, w płaszczyźnie takiej, jaka się nam *wydaje słuszną*, o spostrzeżeniach, jakich nam dostarczyło kilka tygodni przebytych na zachodzie, o wrażeniach z kilku rozmów... Wypadałoby nawet zacząć uwagi te również sterotypowem: „skłonni bylibyśmy mniemać..." itd. itd. itd.

...Kryzys światowy wszedł w tej chwili w fazę absolutnej — powiemy to odrazu otwarcie—beznadziejności. Pierwsza jego epoka — do połowy 1931 roku mniej więcej — charakteryzowała się jeszcze optymizmem co do ewentualnego samorzutnego nawrotu konjunktury. Co wiosna — z okazji sezonowego ożywienia — mówiło się już o końcu kryzysu. Druga epoka — to walka każdego z państwowych organizmów ogspodarczych we własnym zakresie o ratowanie „czego się da" w obliczu katastrofy. Epoka ta jeszcze się nie wyżyła całkowicie. Niewiadomo, kiedy nastąpić może początek jej kresu. Ale już powszechnie wiadomo (poza kilkoma ludźmi, którzy z autarkji gospodarczej ukuli sobie program polityczno-gospodarczy à la longue), że tą drogą można tylko schodzić coraz niżej. Wolniej czy prędzej — to zależy od sytuacji danego organizmu państwowego. Ale ruch ku dołowi jest pewny. W najlepszym (sic...) razie, doszedłszy mniej więcej do „dna kryzysu" (które to dno znowu różne jest zupełnie w różnych państwach), trwa się w bezwładzie na owem dnie — bez nadziei wypłynięcia na powierzchnię. Opinja międzynarodowa skłania się zatem coraz silniej ku tezie o konieczności wybrnięcia wspólnemi siłami ze wspólnego bagna. Czekano przez długi czas na Stany Zjednoczone, które załatwiały swoje sprawy wewnętrzne. Obecnie zaczyna się pracować wspólnie z niemi.

Czy aby wspólnie? Faktem jest, iż po czternastu latach odosobienia Stany Zjednoczone pod przewodnictwem Roosevelt'a zdecydowały się na współpracę z Europą nad zwalczaniem kryzysu. Ale z jakich powodów? Oczywiście — czysto egoistycznych, rozumiejąc po szeregu nieudanych próbach, iż same własnej swej konjunktury nigdy nie potrafią „nakręcić". Są one dziś jeszcze jednak w tem stadjum psychicznem, z którego poszczególne mocarstwa zachodnio-europejskie np. poczynają się już powoli wyzwalać, a mianowicie w okresie marzeń o „zrobieniu interesu" na współpracy z innemi krajami. Mówiąc dokładniej, społeczeństwo amerykańskie, wychowywane od szeregu lat w atmosferze nietylko autarkji gospodarczej ale wprost imperjalizmu gospodarczego w skali światowej, najprzód wogóle nie wyobrażało sobie możliwości wiązania się z kimkolwiekbądź dla jakiegokolwiekbądź celu, obecnie zaś uważa, iż, wiążąc się w ten czy inny sposób i decydując się na zmianę swego długoletniego stanowiska, upoważnione jest temsamem do żądania dla siebie bardzo wielu rzeczy. I dlatego — mimo rządu Roosevelta — daleki jest jeszcze ten czas, kiedy będzie można z Waszyngtonem rozmawiać jak równy z równym.

Ten psychiczny rys powoduje, iż o konkretnych wynikach współpracy europejsko-amerykańskiej (a każdy rozumie, iż, jeśli się mówi o epoce współpracy międzynarodowej na polu gospodarczem, to *przedewszystkiem* o tę właśnie współpracę chodzi...), mówić jest dziś stanowczo przedwcześnie. Zresztą, jak to sama sytuacja faktyczna wskazuje, Stany Zjednoczone muszą dla przywrócenia równowagi gospodarczej świata, zachwianej przez ich nagły wzrost, poświęcić stanowczo zbyt wiele, aby skonsolidowanie takiej współpracy mogło być łatwe. Mówi się o ewentualnych ich następstwach w sprawie długów wzamian za ustępstwa dłużników ich na polu polityczno-handlowem. Tak — ale w takim razie równowagi się również nie przywróci. Kwestja długów wojennych jest dziś przesądzona całkowicie: nikt nie zapłaci raty w dniu 15 czerwca, nie wyłączając i Wielkiej Brytanji. W takim razie — poco sprzedawać za faktycznie nieściągalne zobowiązania swoją ochronę celną, zwłaszcza, jeśli się ma do czynienia z tak potężną ekspansją eksportową, jaką mogą rozwinąć Stany. Roosevelt zapowiada możliwość negocjacyj celnych dwustronnych. Tak — ale opinja amerykańska „darowywać" długów wojennych dotychczas nie myśli. Niedawno jeszcze pewien wybitny amerykański mąż stanu, bawiący w Europie, podkreślił, iż prez. Roosevelt jest pod tym względem wobec Europy w położeniu przymusowem z uwagi na stanowisko kongresu. Jeśli Stany Zjednoczone interesują się wyraźnie i widocznie porozumieniem z Europą, to przedewszystkiem z uwagi na stabilizację walut, a więc, oczywiście, przedewszystkiem — funta angielskiego. To, istotnie, jest dla nich ważne. Nie należy zapominać, iż w 1929 r. wartość wywozu amerykańskiego wyniosła 5,2 miljardy dolarów, a w lutym 1933 r. — 100 miljonów... Innemi słowy, do-

brze będzie, jeśli w r. b. wywóz ten wyniesie w sumie jakieś 1,2 miljarda. Dla Stanów Zjednoczonych głównym szkopułem jest tutaj kwestja funta, stanowiącego, jak wiadomo, doskonałą premję eksportową dla wywozu brytyjskiego, a którego Wielka Brytanja bez rekompensat stabilizować nie myśli...

Poruszyliśmy tu kilka szczegółów tylko ubocznie, aby wykazać, iż „współpraca" amerykańsko-europejska dopiero kiełkuje i wielkich rezultatów po niej spodziewać się nie należy. Naturalnym wnioskiem z tego być musi przepowiednia, iż nie zanosi się bynajmniej na zakończenie owego drugiego okresu depresji, charakteryzowanego, jak mówiliśmy, tendencjami autarkji gospodarczej, ogólnej niepewności, brakiem wszelkiego zaufania, a — co za tem idzie — marazmu w dziedzinie obrotu międzynarodowego kapitałów i stopniowego zanikania handlu światowego. Tempo spadku obrotów handlowych (jak i tempo spadku poziomu cen w skali światowej) wyraźnie się zwolniło. Widoczne jest zupełnie, iż — objektywnie biorąc — w wielu krajach doszło się właśnie do owego „dna kryzysu". Ale o jakiejś reakcji nie może być mowy z uwagi na „obciążenia" w zagadnieniach szczytowych...

Pójdźmy jeszcze krok dalej i postawmy sobie pytanie, gdzie leży właściwa przyczyna owych niesłychanych trudności porozumienia międzynarodowego w rzeczach zasadniczych mimo nieulegającego już wątpliwości ogólnego przeświadczenia w sferach rządzących państwami o konieczności ustąpienia na pewnych punktach, aby umożliwić kompromis, na którym wszyscy muszą w rezultacie zyskać. Jeśli pytanie takie postawić sobie bez fałszywego wstydu — ot, tak „po chłopsku", to odpowiedź na to może być tylko jedna: decyduje tutaj nie „oeconomicum" a „politicum"...

Każdy mąż stanu zarówno w Europie zachodniej, jak i w Stanach Zjednoczonych, liczyć się musi z t. zw. opinją publiczną. W Polsce, gdzie (słusznie zupełnie zresztą) wyrzeka się na słabe uświadomienie polityczne i jeszcze słabsze zainteresowania polityczne szerokich mas, może wywołać to wrażenie, iż społeczeństwa zachodnio-europejskie istotnie akcentują bardzo wydatnie swój silny udział w rządach poprzez zagwarantowanie im prawa w demokratyczno-parlamentarnej formie ustroju. W rzeczywistości przedstawia się to o wiele prozaiczniej: demokracja zachodnio-europejska i amerykańska broni poprostu swojego wysokiego „standard of life". Każde poczynanie czy zaniechanie rządów, odbijające się na kieszeni „człowieka z ulicy" grozi utratą popularności dla rządu — i nieuniknionym upadkiem. Polityka gospodarcza w okresie kryzysu staje się z konieczności coraz bardziej demagogiczna a więc coraz gorsza. Właśnie w okresie, kiedy należałoby wytężyć wszystkie siły dla jej udoskonalenia, dzieje się pod naciskiem „opinji" coś wręcz przeciwnego. Każdy wyższy urzędnik, każdy przemysłowiec czy kierownik resortu rządowego wypowie w prywatnej rozmowie zdanie absolutnie przeciwne temu wszystkiemu, co robi. Zdaje sobie sprawę i rozumie, że robi źle. Ale o jakimkolwiek wyborze niema mowy. Tak trzeba...

I zdaje się nam, że owa walka zachodniej Europy oraz Stanów Zjednoczonych o obronę wysokiego standardu życiowego mas jest w całej swej beznadziejności czemś zupełnie absurdalnem. Nie wiemy czy nie będzie dla czytelników „Gospodarki" nowością wysokość zasiłku, który pobiera np. bezrobotny w Holandji (bez jakichkolwiek ograniczeń czasowych — ad infinitum), a który wynosi do 22 florenów tygodniowo (ok. 315 złotych miesięcznie). Przeciętny robotnik w fabryce Philipsa w Eindhoven ma zarobku powyżej 400 złotych miesięcznie... Niewątpliwie, powie ktoś, iż poziom cen w Holandji jest znacznie wyższy niż w Polsce. Ale — możemy zapewnić — iż różnica napewno nie wynosi nawet 80%. A natomiast różnica w zarobkach...

Nie zamierzamy przecież pisać artykułu politycznego, ale trudno jest właśnie o tych rzeczach nie mówić, bo w nich zasadza się cała istota kryzysu światowego w chwili bieżącej. Każdy godzi się już na zachodzie, że gospodarczo kryzys, jeśli nie wyżył się już doszczętnie, to w każdym razie wyżywa się do ostatka... Ale przerosty, powstałe w okresie wszystkich „boom'ów", trwają nadal i starają się je pod naciskiem „opinji" chronić za wszelką cenę. Roosevelt mógł rozwiązać bankowy kryzys w Stanach dwiema drogami: dopuszczeniem do bankructw niewypłacalnych banków lub zniżką dolara. Wybrał to drugie. Budżet francuski może być zrównoważony obcięciem pensyj urzędnikom o kilkanaście procent. Nikt się na to nie decyduje. W obronie „standard of life robotnika angielskiego", jak szumnie mówi się w Londynie, dopuściło się do spadku funta, albowiem płace naminalne (a wobec minimalnego wzrostu cen — i realne) *musiały* pozostać bez zmiany. Jeśli w dziedzinie autonomicznej polityki gospodarczej idzie się na tego rodzaju paljatywy, to cóż dopiero mówić o terenie współpracy międzynarodowej, gdzie grają ponadto istotnie rolę zagadnienia polityczne, kwestje poszczególnych „Machtfragen", rozgrywki o sfery wpływów itd. itd. Nic dziwnego, że w tych warunkach posuwanie się naprzód stanowi zadanie nielada...

Takie są nasze uwagi o tem wszystkiem, co przynoszą nam codziennie rano depesze z Waszyngtonu, Londynu, czy Paryża, depesze mówiące o wielkich obradach, gdzie wypracowuje się ponoć nowy statut gospodarczy świata. Być może, że mylimy się, ale jesteśmy pod tym względem zdecydowanymi pesymistami. Skłonność do porozumienia międzynarodowego przeciwko kryzysowi daje się zauważyć wszędzie. Słowo „autarkja" nie jest właściwie już nigdzie popularne (z wyjątkiem może, Niemiec, które w tej chwili stanowią pod względem gospodarczym wielką niewiadomą...), ale tendencje porozumiewawcze pomiędzy wielkiemi ośrodkami gospodarczemi i finansowemi są raczej jeszcze formalne niż wypływające z głębszego przekonania szerokich mas. I, rzeczywiście, trudno jest zawracać z tak pięknych pozycyj, osiągniętych na drodze ku dobrobytowi w okresie wysokokapitalistycznym... Bardzo, bardzo trudno — ale trzeba będzie do tego dojść wkońcu napewno. A wszystko to, co taka konstatacje opóźnia (mamy w tej chwili na myśli zupełny chaos i niepewność do niewiadomej potęgi, wywołane spadkiem dolara), opóźnia jednocześnie i nawrót konjunktury...

Nie — stanowczo człowiek nie wraca z zachodu optymistą...

UWAGI

PLAN, PLANU, PLANEM.

Problem gospodarki planowej widocznie wszedł w Polsce w fazę wysokiego napięcia dążeń i zainteresowań, skoro pismo tak ostrożne jak Przegląd Gospodarczy nie zawahało się, — we wstępnym artykule — potrącić o to zagadnienie. Wprawdzie Przegląd Gospodarczy ogranicza się do stwierdzenia, iż ci wszyscy, którzy „z niepomiernie ciężkich warunków chwili wyprowadzają wniosek o konieczności szukania nowych dróg, poprzestają raczej na nader mglisto sformułowanych wskazaniach co do zorganizowania planowej gospodarki narodowej w przeciwstawieniu do dotychczasowej polityki rzekomo liberalno - indywidualistycznej". Nie jest to wiele, ale samo pojawienie się słów „gospodarka planowa" na łamach właśnie Przeglądu Gospodarczego, który dotychczas traktował ten problem per non est i który zapewne jest ostatniem z pism skłonnych do poruszania tej sprawy stanowi fakt znamienny. Innych równie znamiennych faktów nie brak. Nietyle może w prasie codziennej, co w wydawnictwach specjalnego typu, w organach ugrupowań ideowo - politycznych, pismach młodzieży, itp. W jednem z tych pism czytać można było w miesiącu ubiegłym „konkretny plan wprowadzenia gospodarki planowej", zupełnie serjo szkicujący metody przystąpienia do realizacji nowego systemu gospodarczego, projektujący stworzenie odpowiednich organów planujących, wreszcie określający nawet formy i kierunki inicjatywy polskiej w celu wprowadzenia gospodarki planowej w skali międzynarodowej. Czy zresztą potrzebnem jest powoływanie się na „znamienne zjawiska" skoro każdy z nas codziennie słyszy słowo „gospodarka planowa" odmieniane we wszystkich siedmiu przypadkach, nie wyłączając piątego. Mimo, że Gospodarka Narodowa była jednem z pism, które zagadnieniu gospodarki planowej poświęciły stosunkowo wiele miejsca, mimo że jest także jednem z pierwszych pism tego rodzaju, nie wydaje się, ażeby spopularyzowanie nowego terminu pozostawało w jakimkolwiek związku z omówieniem tego problemu w Gospodarce Narodowej. Nie chodzi nam o kwestję poczytności pisma. Chodzi poprostu o to, że sprawa gospodarki planowej stawiana jest z reguły na płaszczyźnie zupełnie odmiennej od tej, na jakiej poruszana była w Gospodarce. Jeśli dwaj mówią to samo — nie jest to to samo. Zagadnienie gospodarki planowej w zasadzie nie jest bynajmniej zagadnieniem do zlekceważenia. Nie chcemy wdawać się w tej chwili w merytoryczną dyskusję, ale istnieją bądź co bądź znaki na ziemi i niebie, które pozwalają nie jednemu twierdzić, że rozwój gospodarki świata idzie w kierunku wzmacniania akcentu na pojęciu gospodarki związanej, że możliwości indywidualistycznego kapitalizmu ulegają zwężeniu, itd. itd. Niżej podpisany sadzi, iż tak nie będzie — sprawa jest sporna ale w każdym razie warta poważnej dyskusji. Ta poważna dyskusja wymaga jednak stosownej perspektywy w przeszłości i przyszłości, wymaga również określenia pojęcia gospodarki planowej. Absolutny brak jednego i drugiego cechuje miłośników deklinacji terminu „gospodarka planowa" w piśmie i słowie.

Właściwie nic dziwnego. Śmiałym i nieśmiałym adherentom nowej metody gospodarowania na ogół biorąc nie chodzi o gospodarkę planową. Popularność tego pojęcia urosła nie na tle spekulacji myślowej, nie na tle analizy tendencji rozwojowych gospodarstwa społecznego, ba, nawet nie na tle dedukcji z jakichś bliżej określonych założeń toretycznych. Poprostu. Opowiedzenie się „za gospodarkę planową" ma charakter dwojakiej reakcji. Po pierwsze protestu przeciwko kryzysowym zjawiskom, przeciw nędzy, bezrobociu, itd. itd.; po drugie negacji w stosunku do obecnego ustroju społecznego i związanej z nim krzywdy społecznej. Charakterystycznym jest, że naogół biorąc hasła gospodarki planowej przyjmują się na terenach o zabarwieniu społecznem jeśli nie radykalnem, to w każdym razie postępowem. Pozornie gospodarcze hasło jest w rzeczywistości ujściem dla stanów emocjonalnych; dla dążeń społecznych. Hasło gospodarki planowej zastąpiłoby w sferach inteligenckich zdepopularyzowane hasła socjalistyczne, w innych wypadkach hasło to służy do uzyskania kompromisu np. pomiędzy obroną zasady własności prywatnej, a dążeniem do skrępowania wielkiego, zwłaszcza zagranicznego kapitału. Innemi słowy dyskusja nad gospodarczym problemem gospodarki planowej odbywa się na płaszczyźnie nie gospodarczej. Rzecz inna, że i z innych punktów widzenia dyskusja ta jest niepogłębiona, że cechuje ją łatwość przechodzenia do porządku dziennego nad sprzecznościami myślowemi. Ale to inny temat. Natomiast aczkolwiek stanowczo nie mamy upoważnień do wypowiadania się w imieniu poważnych zwolenników gospodarki planowej, musimy stwierdzić, że z ich punktu widzenia spopularyzowanie w danej formie hasła gospodarki planowej nie jest bynajmniej z korzyścią dla zagadnienia.

Nie zamierzamy w tem miejscu dotykać meritum sprawy. Chcielibyśmy jednak poruszyć pewien fragment istotnego zagadnienia. Fragment o znaczeniu decydującem. Gospodarka planowa podzielić się daje na dwa odrębne pojęcia. Po pierwsze termin „gospodarka planowa" zawiera w sobie w założeniu metody regulowania życia gospodarczego w drodze stosownej organizacji, wyposażonej w odpowiednie uprawnienia. Oznacza zastąpienie automatyzmu rozkazodawstwem. Po drugie, termin ten zakłada, iż poszczególne akty rozkazodawstwa mają stanowić planową całość, mają opierać się o jednolity program. I tu właśnie tkwi sedno nieporozumienia. Domorośli wyznawcy gospodarki planowej zdają się uważać metodę gospodarki planowej za środek skuteczny i zbawczy sam przez się. Wygląda to tak, jak gdyby fakt odebrania prawa swobodnej dyspozycji jednostkom gospodarującym i scentralizowania tej dyspozycji w specjalnych organach miał sam przez się stanowić o wszystkiem.

Oczywiście tak nie jest. Takie pojmowanie rzeczy charakterystyczne jest dla pewnego stanu mentalności ludzkiej, wynikającego najczęściej w nieznajomości elementarnych zagadnień gospodarczych. Obserwuje się niejednokrotnie, że ludzie nie obznajmieni z problemami gospodarczemi stając w obliczu przykrych i niepożądanych społecznie procesów gospodarczych, a nie znajdując możności zapobieżenia danemu procesowi, ulegają poprostu pokusie wzięcia kierownictwa nim w swoje ręce. Oczywiście, warunki objektywne, decydujące o takim, a nie innym jego przebiegu, pozostają w takim wypadku bez zmiany i proces toczy się po dawnemu. Ten prymitywizm myślenia gospodarczego spotykany w poszczególnych dziedzinach i rozszerzony na całokształt zagadnienia gospodarki społecznej leży u podstaw domorosłej interpretacji programu planowej gospodarki. W tem ujęciu sprawa wygląda tak, jak gdyby wystarczało stworzyć aparat planowania i rozkazodawstwa gospodarczego, „a całość sama się złoży". Jak widać zdradzieckie wpływy ideowe wrogiego obozu liberałów ekonomicznych oddziaływują na naszych planwirtschaftowców. Toż to nic innego, jak specyficzna forma automatyzmu, wzmożona jeszcze... automatyzmem myślenia.

Przypomnieć warto, że w tym kraju, który spędza sen z powiek reformatorów gospodarczych, w Rosji sowieckiej, sprawa przedstawia się wręcz odwrotnie. Że koncepcja gospodarki planowej urodziła się i wyrosła na tle określonego programu społeczno - gospodarczego, że najpierw było wiadomem, *co* sie chce osiągnąć, a później do tego dostosowano *jak*. Gospodarka planowa bez wyraźnego ustalenia, jakim celom ma służyć, prowadzić musi bądź do akceptowania rządów oligarchji politycznej, biurokratycznej, czy wreszcie oligarchji feodałów gospodarczych, bądź też poprostu do absurdu. I dlatego warto byłoby, ażeby wyznawcy gospodarki planowej zastanowili się nieco więcej nad kwestją programu.

Niestety sprawa okaże się wtedy niełatwą. Program, to w pierwszym rzędzie zespół celów socjalno - politycznych. Ale z drugiej strony musi to być również konkretny szkic kierunków rozwoju czysto gospodarczego. Pierwsza rzecz jest stosunkowo prostszą, ale i ona wymaga pewnej odwagi cywilnej wymaga rezygnacji z nieśmiałej połowiczności. Druga natomiast jest niepomiernie trudniejsza. W naszych warunkach ustalenie planu gospodarczego jest zadaniem szczególnie, wprost wyjątkowo trudnem. Składa się na to cały szereg znanych skąd inąd czynników z dziedziny naszych wewnętrznych zagadnień gospodarczych i z dziedziny międzynarodowej sytuacji gospodarczej Polski. Autorytet w sprawach metodyki planowania gospodarczego, sowiecki profesor Bazarow (pół bolszewik), pisze: „Plan generalny, zawierający ścisłe i jasne, teoretycznie uzasadnione i praktycznie wypróbowane sformułowanie celów dla bieżącej pracy gospodarczej; parolетni plan perspektywiczny, konkretyzujący najbliższe etapy na drodze do planu generalnego, a wreszcie w pełni konkretne, zbliżające się w swym charakterze do planów operacyjnych, cyfry konkretne, obejmujące roczny odcinek planu generalnego — oto trzy podstawy gospodarki planowej". Konia z rzędem temu z pośród naszych zwolenników szybkiej, jeśli nie natychmiastowej realizacji gospodarki planowej w Polsce, który się nad tem zastanowił.

c. k.

LIBERALIZM W OFENZYWIE.

Manchester — angielska stolica przemysłu włókienniczego—sławny jest w dziejach myśli ludzkiej, jako kolebka ekonomji klasycznej. Łódź — polski Manchester — nie odegrała i nie odgrywa żadnej niemal roli w kształtowaniu polskiej myśli ekonomicznej. Głównym ośrodkiem tej myśli stał się u nas Kraków, miasto dostojnych tradycyj i skutecznie zatrzymanego rozwoju gospodarczego, jakby dla podkreślenia braku wszelkiego związku między współczesnym ekonomistą teoretykiem i samem życiem gospodarczem. Ta separacja grozi teorji wyjałowieniem, o wiele zaś większe szkody przynosi praktyce. Zbudowanie pomostu między praktyką i teorją ekonomji jest zadaniem pilnem.

Wysiłkiem w tym właśnie kierunku jest powstanie w Łodzi Towarzystwa Polityki Gospodarczej Włókiennictwa Polskiego. Nie pretendując do roli, którą odegrała Szkoła Manchesterska, roli twórców nowej teorji, Towarzystwo odcina się od „akademickości" towarzystw naukowych, stawia sobie za cel „realne wpływanie na politykę gospodarczą". Z drugiej strony, związek personalny ze Szkołą Krakowską, oraz wyznanie wiary, zamieszczone w pierwszym numerze wydawanego przez Towarzystwo biuletynu, wskazuje, że nie mamy doczynienia z placówką ciasno ujętego doraźnego interesu grupowego lub zawodowego, lecz z dążeniem do rozwiązywania zagadnień branżowych na szerokiej płaszczyźnie całokształtu polityki gospodarczej i w oparciu o gruntowną znajomość ekonomji.

Towarzystwo deklaruje się, jako grupa „kompletnie niezależna". Taki stan rzeczy, obok uznania dla ofiarności (biuletyn, bity w 3500 egz., bez ogłoszeń, rozsyłany jest bezpłatnie), wywołuje pewne rozczarowanie: byłoby bardziej budujące, gdyby grupy zawodowe wykazały zrozumienie, że można bronić *swego interesu* przy pomocy argumentów ekonomicznych. Przyjmując niezależność za podstawowy warunek pracy *szukania dróg*, stanowiącej cel istnienia „Gospodarki Narodowej", zdawaliśmy sobie sprawę, że brak zależności jest równocześnie brakiem oparcia, osłabia więc naszą zdolność *realizacji*. Towarzystwo, które za cel stawia sobie nie szukanie, lecz realizację postulatów, w dodatku ograniczonych do jednego zawodu, nie jest zaś reprezentacją żadnej grupy w tym zawodzie wisi niejako w próżni. Nie może być, oczywiście, mowy w dzisiejszych warunkach, by Towarzystwo mogło się stać organem np. kartelu bawełnianego, w stosunku do którego zajęło odrazu postawę silnie krytyczną, natomiast zacieśnienie i oficjalne ujawnienie związków z grupą mniejszych przedsiębiorstw, stojących w opozycji do kartelu, mogłoby wyjść na dobre obu stronom.

Skoro prezesem Zarządu jest prof. Adam Krzyżanowski, a redaktorem Biuletynu p. Stanisław Lau-

terbach, mamy tedy do czynienia z placówką myśli liberalnej, co znajduje całkowite potwierdzenie w sześciu dotąd wydanych numerach Biuletynu. Należąc do najbliższego liberalizmowi skrzydła w dość szerokim wachlarzu poglądów współpracowników „Gospodarki Narodowej", cieszę się, że naprzekór bardzo licznym głosom, zaliczającym rychłe wygaśniecie poglądów liberalnych do rzędu faktów nie podlegających już nawet dyskusji, liberalizm nietyl ko nie rezygnuje, ale przechodzi do ofensywy. Wbrew dość powszechnemu mniemaniu, chwila dla podjęcia ofensywy może się okazać odpowiednia. Po rozczarowaniu zdegenerowanym liberalizmem, łatwiej przyjść może rozczarowanie do nieprzemyślanej i niedojrzałej interwencji. Wzrost liberalizmu w stosunkach międzynarodowych uważany jest już bodaj powszechnie za pożądany, a tylko bardzo trudny do urzeczywistnienia. Największym atutem gospodarki związanej jest urok nieznanej i niewypróbowanej nowości. Jeżeli w stosunkach wewnętrznych wynikiem ofensywy byłoby tylko cofnięcie jaskrawych form szkodliwej interwencji na wybranym odcinku, np. odebranie kartelowi bawełnianemu cech przymusu, oraz wycofanie z przesadnego „samarytanizmu", to już byłoby wiele. Osiagnięcie tego wyniku zależy m. in. od właściwego postawienia celów do osiągnięcia, oraz od taktyki. Z tych właśnie punktów widzenia dotychczasowe numery Biuletynu nastręczają pewne wątpliwości.

Teoretykowi wolno fikcyjnie upraszczać rzeczywistość, wolno mu eliminować momenty, które zmniejszają przejrzystość konstrukcji, wolno ograniczyć się do zagadnień wyłącznie gospodarczych, pomijając momenty poza - gospodarcze. Politykowi gospodarczemu — nie wolno. Polityk gospodarczy, który ma ambicję wywierania wpływu na decyzje Rządu, musi w swych koncepcjach brać pod uwagę całokształt trosk życia państwowego, wszystkie naciski, którym czynniki decydujace podlegają, musi pamiętać słuszne słowa prof. Tennenbauma, że „polityka gospodarcza jest często sztuką wyboru kompromisów"*). Tego zrozumienia dla kompromisu we wstępnym artykule p. Lauterbacha stanowiącym credo Towarzystwa, nie widzę. Raczej przeciwnie, żądanie przepojenia polityki gospodarczej jednolitą doktryną ekonomiczną, wysunięte w formie dogmatycznej, a realizowane dziś na całej kuli ziemskiej bodaj w jednym tylko Związku Sowieckim, przypomina poezję romantyczną. Jeden tylko kompromis został wyraźnie dopuszczony—czasowe utrzymanie ochrony celnej. Pozatem wszędzie „przewekslowanie na tor liberalizmu ekonomicznego". Niemal wszystkie zarzuty, stawiane przez p. Lauterbacha dotychczasowej polityce gospodarczej zawierają ziarno słuszności, ale są tak ogólne, że możnaby je z równą, czasem większą, słusznością postawić w Niemczech, Francji, Anglji, Stanach Zejdnoczonych i w każdym innym kraju. Wszędzie „polityka gospodarcza pełna jest sprzeczności"; wszędzie prawie głosi hasło o kapitalizacji, a niektóremi zarządzeniami redukuje zyski; prawie wszędzie uznaje prawo własności, a jednak je ogranicza; w bardzo wielu krajach stosuje równocześnie zarządzenia o charakterze inflacyjnym i deflacyjnym. Z artykułu p. Lauterbacha możnaby mniemać, że Polska jest oazą niekonsekwencji w świecie, logicznie realizującym doktryny ekonomiczne. Polityk gospodarczy musi nadto rozumieć, że Polska, otoczona krajami niekoniecznie logicznej, ale daleko posuniętej interwencji, poddanej hierarchji, u której szczytu, w bardzo dla nas ważnym wypadku, znajduje się ekspansja polityczna *za wszelką cenę*, nie może prowadzić takiej polityki, któraby można uznać za najlepszą, w razie posiadania gwarancji wieczystego pokoju. Dlatego pierwszem pytaniem, które trzeba zadać placówce chcącej realizować w dzisiejszych warunkach liberalizm gospodarczy, jest: w jakim zakresie? A nawet: w jakim zakresie dziś, w jakim jutro i w jakim pojutrze? Bo wysunięcie na *dziś* hasła liberalizmu *integralnego* (choćby z wyłaczeniem ceł, co wszakże pociąga konsekwencje dla innych dziedzin), byłoby programem nierealnym.

Powtóre, radbym wiedzieć, jaką postawę zajmuje Towarzystwo odnośnie coraz bardziej ważkiego zagadnienia wiązania życia gospodarczego przez ugrupowania interesów prywatnych. Wiemy, że potępia ono kartelizację przymusowa, jak również, że uważa „rentę kartelową" za objaw szkodliwy. Pozostaje jednak faktem, że dzisiejsza ludzkość potrafi się skutecznie wiązać bez żadnej pomocy Państwa, że tym sposobem niszczy działanie konkurencji, a skłonienie jej do zawrócenia z tej ścieżki drogą perswazji zapewne się nie uda. Jest to bodaj najciekawszy problemat, przed którym stoi współczesny liberalizm a zarazem przeszkoda, która każdy program realizowania liberalizmu musi przewidzieć.

Redakcja Biuletynu niedostatecznie bodaj uwzględnia w formie argumentacji, to co podkreślił Redaktor w artykule wstępnym: małą znajomość praw ekonomicznych wśród społeczeństwa, a więc i wśród czytelników Biuletynu. Każda teza, postawiona przez tak niepopularny liberalizm musi przełamać wiele uprzedzeń, musi więc być obszernie i przekonywująco uzasadniona, jeśli ma liczyć na zwycięstwo. Zwycięstwa w walce z „gospodarką związaną" szczerze Towarzystwu życzę.

J. Poniatowski.

TOTALIZATOR.

„Myślałem sobie, 105- a nie jest może pewna; 114-ta też nie; ale 124-ta punkt 2, 108 a i 93 a to pewniaki. No i niech pan sobie wyobrazi, 108 i 93 jest. Że jest także 115 i 112, to pół biedy. Ale 124-a zdawałoby się najbardziej murowana i akurat jej niema". Jeżeli czytelnik zechce sobie wyobrazić, że jest świadkiem podobnej rozmowy w jednej z bussinesowych kawiarni warszawskich to tytuł „totalizator" staje się zrozumiały. Może to zresztą nie być totalizator, — jakaś loterja jakaś specjalna gra, w każdym razie taki czy inny hazard. Dalsza część rozmowy wyprowadza z błędu, wywołując natomiast zdumienie. „No i co z tego, że na 108 stawiałem dobrze. Co z tego, mówię panu, siedzę z piętna-

*) Henryk Tennenbaum: Struktura Gospodarstwa Polskiego. T. I. Str. 70.

stoma wagonami quebracho. 124-ta punkt 2 to przecież quebracho.

Piętnaście wagonów. Rozumie pan. Przecież teraz, kiedy niema zakazu, to będzie leżało przez pół roku conajmniej. A ja telegraficznie zamawiałem". Jak się okazuje rozmowa dotyczy nowej listy zakazów. Zanim ukaże się kolejna lista zakazów przywozu, zainteresowani importerzy metodami zapożyczonemi chyba od astrologów, starają się przewidzieć, a raczej wywróżyć jakie mianowicie towary może ona obejmować. Kiedy kursujące na rynku wiadomości o zamierzeniach Rządu w tej dziedzinie nadadzą już dostateczny stopień prawdopodobieństwa przewidywaniom, czem prędzej zamawia się towary — na które w niedługim czasie ma zostać rozszerzona reglamentacja. Zacytowana wyżej rozmowa świadczy, o tem. że istnieją rzadkie wypadki. które powinny przejść do historii. wypadki, kiedy importer żałuje że lista zakazów przywozu nie jest dość szeroka.

Równie nieprawdopodobny mógłby być chyba tylko wypadek gdyby eksporter nie chciał. ażeby Polska uzyskała kontyngent na eksport do jednego z krajów. stanowiących najpoważniejszy rynek odbiorczy. Ale i to jest możliwe, ba, i to jest prawdziwe. Przy pewnym układzie sytuacji. przy pewnych stosunkach na rynku odbiorczym, jedna czy kilka firm eksportujących może być w stanie eksportować pomimo braku oficjalnego kontyngentu. Jeżeli teraz właściwym organom państwowym udałoby się otrzymać oficjalny kontyngent dla Polski i jeżeli ten kontyngent wywozowy zostałby rozdzielony pomiędzy wszystkie firmy danej branży, to dotychczasowy monopolista może łatwo znaleść się nawet nie na czołowem miejscu. Powiększenie zbytu dla danej branży jako całości, może bardzo łatwo równać się zmniejszeniu zbytu dla jednej z firm, dotychczas uprzywilejowanych via facti.

Te dwie prawdziwe anegdoty możnaby uzupełnić sporym szeregiem innych, mniej lub więcej zresztą znanych. Cytujemy przynajmniej te dwie nie tylko dlatego, że ich paradoksalność to usprawiedliwia, ale i dlatego, że reglamentacja być może zresztą stanowiąca zło nieuniknione, napotyka w miarę „przyzwyczajenia" się na coraz mniejsze opory psychiczne, i to nietylko u interwencjonistów' ale i u liberałów. W tych warunkach ma chyba cel uprzytamnianie nieprawdopodobnych anomalji, wyrastających na gruncie ograniczeń obrotu towarowego.

c.

TADEUSZ KIJEŃSKI

NIEPOROZUMIENIE Z SAMORZĄDEM GOSPODARCZYM

Struktura i szeroki zakres działania izb przemysłowo - handlowych jest rzeczą przez ogół mało znaną. Niedość przygotowane eksperymenty reformatorskie tej struktury zamiast poprawić obecny stan rzeczy, mogłyby dać ujemne rezultaty.

(P. W. Diamandowi w odpowiedzi).

W Nr. 7 „Gospodarki Narodowej" p. Wławysław Diamand w arykule p. t. „Nieporozumienie samorządu gospodarczego" poddaje ostrej krytyce samorząd gospodarczy, którego instytucją na terenie Polski są izby przemysłowo - handlowe, połączone w Związku Izb.

Pisząc swą filipikę przeciw izbom, p. Diamand wyszedł z następujących założeń: primo, że obecnie funkcjonujący samorząd nie powstał jako emanacja życia gospodarczego, ale jako rezultat targów czy układów między teroryzującemi swych członków organizacjami gospodarczemi, działającemi raczej w interesie swych kierowników, niżeli członków; secundo, że istniejący samorząd gospodarczy nie ma charakteru współdecydującego, a jedynie opinjodawczy.

Na takie czy inne rozwiązanie sprawy swego składu osobowego izby wogóle nie mogą mieć wpływu. Wybory do izb na podstawie jednolitego polskiego prawa o izbach miały miejsce w roku 1928 dopiero po raz pierwszy, a zatem wynik ich mógł być zależny li tylko od samych wyborców. Niepotrzebnie też p Diamand wprowadza w błąd swych czytelników, twierdząc, że: „radców nie desygnowało samo życie gospodarcze, a *tylko* (podkreślenie nasze) (przyp. autora) wolne organizacje gospodarcze i to orgaizacje specjalnie wybrane". Pisząc swój artykuł, widocznie nie miał przed sobą tekstu prawa o izbach przemysłowo - handlowych *). W art. 8 ।ego prawa wskazane jest wyraźnie, że radcowie są powoływani z wyborów każdorazowo w 2/5 swej liczby przez ogół osób, posiadających czynne prawo wyborcze, a tylko pozostałe 3/5 radców wybieranych jest w drodze wyborów pośrednich przez zrzeszenia gospodarcze, wyznaczone przez Ministra Przemysłu i Handlu. Zgodnie ze statutami poszczególnych izb wybory bezpośrednie w grupie handlowej są dokonywane przy pomocy głosowania na listy, dla zgłoszenia których potrzeba 150 podpisów. zaś wybory w pozostałych sekcjach (bankowej, przemysłowej, górniczej i t. p.) odbywają się na podstawie względnej większości otrzymanych głosów.

Możność więc, by radcowie „naprawdę" repre-

*) Patrz Dz. Ustaw R. P. Nr. 67 z 1927 r., Nr. 29 z 1932 r. i Nr. 25 z r. b., względnie broszurę Dr. T. Rzepeckiego.

zentowali życie gospodarcze była sferom gospodarczym dana.

Wybory w stowarzyszeniach prowadzone były w sposób liberalny i bez teroru, i w szeregu zrzeszeń wypadły zupełnie nie po myśli kierownictwa zrzeszenia. Na skład reprezentacji stowarzyszenia miały wpływ grupy opozycji, czy nawet drobne odłamy danej organizacji. Wybory zgodnie z przepisami prawa o izbach były dokonywane na specjalnie w tym celu zwołanych walnych zgromadzeniach zrzeszeń, to też o ile, jak pisze p. Diamand, „przemysłowiec i kupiec częstokroć dowiadywał się po fakcie, kto został desygnowany jako obrońca jego interesów", to mogło to mieć miejsce chyba tylko w tym wypadku, o ile nie zainteresował się walnem zebraniem i na nie się nie zjawił; na to już żadna reforma ordynacji wyborczej nie pomoże. Jedynym środkiem mogłoby być chyba ustalenie wysokich kar za nieobecność na zebraniu wyborczem. Ale to stanowiłoby chyba teror.

Pozostaje sprawa desygnacji organizacyj, którym nadano prawa wyborcze. Wybrane zostały dwie grupy organizacyj: posiadające najwięcej członków i zasługujące z tego względu na wyróżnienie, jako mające zaufanie i będące reprezentacją poważnej części przemysłu i handlu, — a z drugiej strony te zrzeszenia, które, reprezentując gałęzie mające znaczenie dla naszego życia gospodarczego, nie mogłyby uzyskać reprezentacji w izbach z uwagi na nieznaczną ilość jednostek, które reprezentują. Jest to więc typowa, tak pożądana przez p. Diamanda obrona interesów poszczególnych branż. Jako przykłady przytoczyć można przyznanie prawa wyborczego zrzeszeniom, które reprezentują niewielkie ilości przedsiębiorstw, a zostały uwzględnione z uwagi na ich doniosłe znaczenie dla życia gospodarczego, np. Związek Elektrowni i Związek Papierni.

Wreszcie dwa ostatnie argumenty: dla każdego radcy ważną jest rzeczą, kogo reprezentuje. Reprezentacja związku, odpowiedzialność wobec organizacji — jest rzeczą uchwytną i realną. Reprezentacja „branży" uzyskana może, jak są znane tego wypadki, w drodze przypadkowego rozkładu głosów w głosowaniu bezpośredniem, nie nada wystąpieniom radcy pożądanego autorytetu. Trudno. Że zacytuję tu znów p. Diamanda: „życie gospodarcze musi się naginać do stanu faktycznego", liczyć z psychologją ogółu. Z drugiej strony zaś izby znajdują oparcie przez radców — w związkach i organizacjach, a oparcie to jest również uchwytniejsze, niż oparcie się na niezorganizowanych wyborcach, którzy tembardziej są anonimowi, że wybory są tajne i że nikt nie jest krępowany tem, by wybierać miał radców ze swej branży lub choćby ze swej kurji.

Inną jest rzeczą, nad czem się p. Diamand w artykule swym nie zastanawia, czy idea samorządu gospodarczego, jako jednostki twórczej, jest w Polsce należycie spopularyzowana i czy szerokie masy wyborców, niezależnie, czy robiły to bezpośrednio, czy przez stowarzyszenia, wybierały pierwszych radców ze świadomością tego, czego od elektów swych życie gospodarcze wymaga.

Ogromnie często spotkać można pogląd, że stanowisko radcy izby jest *godnością*, honorującą jedynie wybranego, a nie *funkcją*, będącą dowodem zaufania i w myśl zasady noblesse oblige nakładającą na radcę liczne, nieraz ciężkie obowiązki nietylko honorowe, co „honorowo", t. j. bezpłatnie, wykonywane. A że p. Diamand tak niezmiernie surowo i może jednostronnie ocenia powstanie i rolę poszczególnych związków i organizacyj — to już wchodzi w zakres jego osobistych poglądów, ale należy podkreślić, że wszelkie zmiany istniejącego stanu rzeczy nie zależą od samorządu gospodarczego, ani od czynników rządowych, a tylko i wyłącznie od członków zrzeszeń. Jacy członkowie — takie zrzeszenie. Ostre potraktowanie przez p. Diamanda sprawy niewłaściwej organizacji zrzeszeń byłoby dobrym tematem do oddzielnego artykułu, ale tak jednostronne ujęcie faktu powołania zrzeszeń do udziału w wyborach, przy jednoczesnem dowolnem traktowaniu ustawowej struktury wyborów — stawia czytelnika w niepewności co do intencji autora artykułu.

Co się tyczy drugiego zasadniczego punktu wyjścia p. Diamanda, mianowicie kwestji czy samorząd gospodarczy ma obecnie charakter opinjodawczy, czy współdecydujący, to należy sprawę tę postawić jasno. Rola samorządu gospodarczego nie jest łatwa. Prawo o izbach bezwzględnie wyposaża samorząd w rolę wybitnie współdecydującą, nietylko co do poruczonego zakresu działania, ale i dając mu duże uprawnienia w dziedzinie inicjatywy w odniesieniu do ustawodawstwa przemysłowego, handlowego, górniczego, celnego i t. d. Samorząd gospodarczy idzie konsewentnie po linji zadań, wymienionych w prawie o izbach; jest kwestją polityki gospodarczej państwa, o ile po linji tej zawsze i bez przeszkód iść może.

Pan Diamand, pragnąc, jak się wyraża, „uzdrowić" samorząd gospodarczy — podaje w szeregu punktów na czem konieczna jego zdaniem reforma winna polegać. Rozpatrzymy punkty te według przyjętego przez niego porządku.

1. P. Diamand stawia postulat, by radcowie „naprawdę" reprezentowali życie gospodarcze a nie tylko niektóre organizacje gospodarcze. Rozważania na początku niniejszego artykułu wyjaśniają, jak sprawy te wyglądają w świetle przepisów prawa i statutów izb. P. Diamand proponuje wyłącznie wybory drogą tajnego głosowania na kandydatury branżowe. Kto te kandydatury ma zgłaszać? Czy p. Diamand pragnie, by można było głosować na dowolną osobę z danej branży w systemie t. zw. większościowym? Powodowałoby to w praktyce konieczność stworzenia w okręgu izby oddzielnego biura wyborczego dla każdej branży. Dobrze, ale ile jest branż? Urząd Statystyczny ustalił ich pozornie niedużo, bo w wykazie branż handlowych jest tylko 38 pozycyj; jeżeli jednak chodzi o selekcję interesów, to już pobieżne przejrzenie tych pozycyj wykazuje, że każda z nich musiałaby być podzielona na bardzo wiele drobniejszych. Przytoczę tu np., że instrumenty muzyczne, optyczne, chirurgiczne, aparaty i przybory fotograficzne — są ujęte w jednej grupie branżowej. Razem ujęto czytelnie, magle, dancingi, łaźnie i garaże. Razem — artykuły budowlane i opałowe. Czy można mówić przy tym stanie rzeczy o repreznetacjach tych branż? Konieczne byłoby opracowanie odpo-

wiedniego wykazu branżowego. Jeszcze większa selekcja byłaby konieczna w zakresie branż przemysłowych, których nomenklaturę Urząd Statystyczny obecnie ustala. O ile chodzi o przykłady zagraniczne, to zacytować można, że w spisie zawodowym niemieckim z roku 1925 podano przeszło 160 (Wirtschaftskreise), a branże te obejmują dalsze poddziały, określone jako zawody, w ilości przeszło 5.000.

Powyższe rozważania wykazują, że liczyćby się należało z niezmiernie wielką reprezentacją, gdyż wiele nawet drobnych branż, przy przyjęciu zasady przedstawicielstwa branżowego, pretendowałoby do posiadania swych radców. Nie rozwijam nadal tego tematu, ale pragnę stwierdzić, że reprezentacje takie działałyby z konieczności bardzo ciężko, że przeprowadzone w 1928 r. wybory pozwoliły zgromadzić wśród stosunkowo niewielu (jak w Warszawie 80) radców bezpośrednią lub pośrednią reprezentację wszystkich niemal branż.

2. P. Diamand wysuwa jako dezyderat do realizacji wniosek, by mandat radcowski wygasał „w razie popadnięcia w niewypłacalność". Ależ to właśnie przewiduje prawo o izbach. Co się tyczy wniosku p. Diamanda, by mandat radcowski wygasał w wypadku zaprzestania wykonywania danego zawodu, z tytułu którego wybór nastąpił, to wzgląd ten nie wydaje się słuszny. Na wybór radcy wpływać winno przedewszystkiem zaufanie do jego osoby, pod względem uczciwości, sumienności, znajomości spraw gospodarczych wogóle, a dopiero na drugiem miejscu znajomość danej branży. Walorów tych ten, kto przestaje wykonywać zawód, nie traci. Zresztą wypadki zmiany zawodu w ciągu 5-letniego okresu piastowania mandatu radcowskiego nie mogą być zbyt liczne.

3. Następny dezyderat dotyczy dokładnego protokułowania i jawnego prowadzenia „decydujących o stanowisku izby" obrad plenarnych, jak i komisyjnych. Stosownie do przepisów prawa, obrady komisyjne nie mają decydującego znaczenia a zadaniem komisyj (które nie występują nazewnątrz) jest szczegółowe badanie spraw, związanych z działalnością izby, przyczem sprawozdania i wnioski komisyj są przedstawiane jedynie Prezydjum lub plenarnemu zebraniu izby. Natomiast wszelkie uchwały, dotyczące zajęcia przez izby stanowiska zapadają na zebraniach plenarnych, które są jawne i dostępne dla publiczności; protokuły tych zebrań są ogłaszane drukiem. Sprawy załatwione przez Prezydjum są również podawane do publicznej wiadomości bądź w sprawozdaniach izb, bądź w wydawanych przez izby biuletynach informacyjnych.

W tymże wniosku pisze p. Diamand: „w wypadku zarządzenia wyjątkowo poufności, poufność nie może dotyczyć reprezentantów upełnomocnionych branż, których rozważana sprawa dotyczy". Albo jest poufność, albo jej niema. Dlaczego upełnomocnieni repreznatanci branży (przez kogo upełnomocnieni?) mają być zwolnieni od obowiązku poufności, a tem samem upoważnieni do podania danej uchwały do wiadomości osób, przynależnych do danej branży, a może nawet do opublikowania w pismach branżowych — p. Diamand nie wyjaśnia.

4. Rola biura izby winna być, zdaniem p. Diamanda, ograniczona ściśle do czynności technicznych i pomocniczych i ani biuro, ani Prezydjum nie powinno wywierać wpływu na stanowisko izby. Kto w takim razie będzie załatwiał cały poruczony zakres działania izb? Czy do badania każdego wniosku ustawowego, czy opinjowania projektu rządowego koncesyj, w kwestji wyrażenia zgody na taką czy inną wystawę, opinji o ustroju szkół takiego czy innego przemysłu i tylu innych, które nie są bynajmniej sprawami technicznemi, należy zwoływać plenum, które zdaniem p. Diamanda jedyne jest powołane do zajmowania w imieniu izby stanowiska? Czy podobne postawienie sprawy właśnie nie doprowadziłoby izby do roli ściśle opinjodawczego wolno i biurokratycznie działającego organu? Naszem zdaniem tak. Biuro zresztą nie ma głosu decydującego i spełnia tylko wskazania plenum względnie Prezydjum, statut zaś dokładnie wymienia sprawy, gdy Prezydjum, składające się przecież nie z zawodowców, a wybranych radców, w imieniu izby w niecierpiących zwłoki sprawach może decydować, unikając w ten sposób wobec znacznej ilości spraw, załatwianych przez izby, konieczności nieprzerwanych obrad plenum.

5. W następnym punkcie wniosków p. Diamand pragnie ograniczyć udział w obradach Związku Izb i Rady Traktatowej wyłącznie do „radców i ich zastępców działów zainteresowanych, a nie (obsyłania ich) przez prezydja izb i funkcjonarjuszy samorządów". Nie wziął jednak p. Diamand pod uwagę tej ewentualności, poruszonej przez niego przy innych okazjach, że podobne postawienie sprawy stwarzałoby nową „oligarchję" — ludzi niezależnych majątkowo, którzy mogliby na te sprawy poświęcić dużą ilość czasu. Przytem specjalnie w Radzie Traktatowej udział czynnika fachowo badającego międzynarodowe stosunki ekonomiczne nasuwa się jako rzecz niespornie konieczna. Zabieranie głosu w sprawach międzynarodowej polityki handlowej wymaga nie tylko znajomości potrzeb i możliwości krajowej produkcji, czy handlu, ale również umiejętnej i precyzyjnej oceny warunków, istniejących w danej chwili na terenie kontrahenta zagranicznego. Koniecznie potrzebny w tym zakresie zasób wiadomości i opanowanie metod postępowania wymaga studjów specjalnych, szczególniejszego przygotowania i rutyny. Tego wszystkiego nie można wymagać od przedstawicieli poszczególnych branż. I dlatego nieuniknione jest posługiwanie się fachowcami.

Dalej proponuje p. Diamand dość daleko idącą zmianę, mianowicie, by wbrew obecnemu statutowi, który przekazuje szereg spraw do załatwienia Prezydjum — wszelkie uchwały decydujące o stanowisku izby przechodziły przez plenum. Objekcje nasuwające się wobec tego projektu wyraziłem już wyżej a i sam p. Diamand w swym artykule na innem miejscu pisał: „Oczywiście, nie sposób każdą sprawę załatwiać w drodze obrad plenarnych". Jakby to miało wyglądać w praktyce p. Diamand nie precyzuje. Może pragnąłby nadać obradom komisji głos decydujący?

Dalszem novum jest wniosek stworzenia plenarnych perjodycznych posiedzeń Związku Izb, obesłanych nie przez przedstawicieli Prezydjów czy biur, ale przez radców, przyczem, licząc się z tem, że radcowie niezawsze mieliby możność przyjeżdżania na takie posiedzenia p. Diamand proponuje, by dopuszczalne było udzielanie sobie przez radców wzajemnie mandatu do zastępowania się i głosowania w zastępstwie.

Cóż się w takim razie stanie? „Większość radców zajęta jest zawodowo przez cały dzień. Przy rozważaniu spraw pilnych szczególnie radcowie, którzy nie mogli się odpowiednio zaznajomić z tematem, przelewają swe uprawnienia bądź na kilku mniej zajętych kolegów, bądź na biura i Prezydja izb. Pełnomocnictwa tego rodzaju otrzymują zazwyczaj ci sami ludzie, którzy eo ipso przeradzają się stopniowo na nową oligarchję już wewnątrz samorządu. Kontrola gremjum nad jego pełnomocnikami, dysponującymi większą ilością czasu i lepiej sytuowanymi jest rzeczą iluzoryczną“... Tak krótko i rzeczowo na projekt zastępców radcowskich odpowiedział sam sobie p. Diamand w tymże artykule o nieporozumieniach samorządu gospodarczego, robiąc na czytelniku wrażenie nieporozumienia — w samym artykule. Zacytowany ustęp odnosi się do rzekomych zastępstw radców przy działalności komisyjnej. Stwierdzić jednak należy, że nieznane są wypadki, by w praktyce takie rzeczy stale się zdarzały, zaś przepisy statutowe instytucji zastępstw nie przewidują.

Podniesiona przez p. Diamanda konieczność oddzielenia kurji bankowej od przemysłu i handlu a także utworzenia innych kuryj jest rzeczą załatwioną. Podział ten istnieje i to nietylko na kurje wyborcze, ale i na sekcje, co przewiduje prawo o izbach. W różnych izbach zależnie od warunków terytorjalnych powstały odrębne sekcje: przemysłowa, handlowa, żeglugowo - sportowa, górnicza; bankowo-ubezpieczeniowa, zaś powstawanie nowych nie jest ograniczone.

Co się tyczy wysuniętego programu skomasowania wszystkich samorządów, to było to przedmiotem obrad pierwszego Zjazdu Samorządu Gospodarczego, który odbył się w r. ub. w gmachu Senatu i który powołał do życia Stałą Komisję Porozumiewawczą. Brak dotychczas izb pracy odsuwa na dalszy plan realizację przewidzianej w Konstytucji Naczelnej Izby Gospodarczej.

I jeszcze jedno. Krytykuje p. Diamand, że na komisjach: „np. w sprawie obuwia mają głos decydujący kupcy kolonjalni, fabrykanci perfum, wytwórnie papieru“. Wyjaśniłem wyżej, że komisje nie mają głosu decydującego, ale pomijając ten wzgląd — stwierdzić należy, że wymienione projekty p. Diamanda, a między innemi projekt rozważania wszystkich spraw na plenum — bynajmnie nie usuwają tego „niedomagania“, gdyż usunąć go nie mogą. Jest to zjawisko nieuchronne we wszystkich ciałach kolegjalnych czy samorządowych. Najważniejszą zresztą rzeczą reprezentanta w samorządzie jest, tak jak na stanowisku posła, zdrowy chłopski rozum. I chęć możliwie dokładnego zapoznania się z tematem, o którym ma się dyskutować. A to ostatnie jest ważne nietylko na wspomnianych stanowiskach.

NOTATKI

W ODPOWIEDZI.

Pan Kazimierz Jezioranski, którego „Nieporozumienie“ ma stanowić odpowiedź na moje „Kaznodziejstwo„ (zob. Nr. 7 i 8 „G. N.“), położył szczególnie silny nacisk na zagadnienie komisarza do spraw przedsiębiorstw państwowych i Rady, złożonej z przedstawicieli samorządu gospodarczego, dodanej komisarzowi do pomocy. O ile dla mnie punkt ciężkości zagadnienia leżał i leży w kryterjach utrzymania lub demontażu przedsiębiorstw państwowych, problem organizacyjny zaś pozostaje na dalszym planie, o tyle p. K. J. odwraca ten stosunek i, odsyłając ciekawych pierwszej kwestji do *przyszłej* działalności projektowanej Rady, rozpisuje się szeroko o znaczeniu, potrzebie i pracach tego nowego „bajratu“. Mimo to zgadzam się na przyjętą przez p. K. J. platformę dyskusji i — odpowiadam.

Instytucja komisarza i jego przybocznej Rady w interpretacji p. K. J. okazuje się jeszcze mniej życiowa, aniżeli uprzednio przypuszczałem. Komisarz, którego najwłaściwiej byłoby nazwać „komisarzem do walki z etatyzmem“, miałby — dowodzi p. K. J. omawiać, uzgadniać i rozstrzygać każdą sprawę w ścisłem porozumieniu ze swą przyboczną Radą. Jasne jest, iż takie postawienie kwestji czyni z komisarza i Rady instytucję nierealną, papierową. P. K. J. mówi, że Rada będzie *tylko* opinjowała; ale, kto opinjuje, musi dokładnie wiedzieć i znać czyli wnikać w *szczegóły* działalności poszczególnych przedsiębiorstw państwowych. Nie chodzi tutaj o to, czy dane przedsiębiorstwo państwowe będzie czy nie będzie konkurentem przedsiębiorstw prywatnych, lecz o to, że *żadne*, tak państwowe, jak i prywatne przedsiębiorstwo nie wytrzyma ustawicznej i zbiorowo wykonywanej „kontroli“, t. zn. wtrącania się w jego działalność.

Autor „Nieporozumienia“ stawia zagadnienie w sposób, któremu nie można odmówić oryginalności: przedsiębiorstwo prywatne nie ma prawa kontrolować przedsiębiorstwa prywatnego (w kartelach, holdingach i t. p. jest coprawda inaczej), nie może również przedsiębiorstwo państwowe kontrolować przedsiębiorstwa prywatnego, natomiast przedsiębiorstwo prywatne (via delegaci izb przemysłowo - handlowych) ma prawo kontrolować przedsiębiorstwo państwowe. Ba! nawet nie prawo, a obowiązek, gdyż przedsiębiorstwo państwowe gospodaruje za pieniądze publiczne. Zdawałoby się, że gospodarka publiczna podlega już dostatecznemu nadzorowi ze strony Rządu, parlamentu i N. I.

K.; p. K. J. to nie wystarcza, gdyż domaga się on kontroli ze strony przedsiębiorcy prywatnego, którym jest lub z którym jest związany reprezentant Izby P. — H. Zdawałoby się również, iż dekret o izbach P. — H. nie przewiduje tego rodzaju rozszerzenia ustawowych obowiązków polskiego samorządu gospodarczego, który z natury rzeczy służy do reprezentacji interesów prywatnej gospodarki i do jej usprawniania. Czyżby te obowiązki były już pomyślnie spełnione, skoro izby sięgają po funkcję nadzorowania Państwa i jego gospodarki?

Spodziewałem się, że odpowiedź na moje „Kaznodziejstwo" będzie zawierała tezę o integralnej kontroli i o powszechnej ingerencji: przedsiębiorstwa prywatne będą śledziły działalność przedsiębiorstw państwowych i — vice versa — Państwo przedsiębiorstw prywatnych. Na tle działalności zagranicznych koncernów nie byłoby w tem nic dziwnego. Tymczasem p. K. J. chce tylko widzieć w przedstawicielach przedsiębiorstw prywatnych, tworzących ów „bajrat", żywą księgę informacyjną odnośnie ...przedsiębiorstw państwowych. Możnaby wobec tego postawić skromne pytanie: dlaczego ten „informator" nie działa, kiedy chodzi o „uświadomienie" Rządu o przedsiębiorstwach prywatnych, zwłaszcza tych, których monopolistyczne stanowisko sprawia, że mimochodem stają się one przedsiębiorstwami, pracującemi „za pieniądze publiczne"?...

Kwestja narzucenia przedsiębiorstwom państwowym jednolitego schematu bilansowego i jednolitych zasad kalkulacyjnych nie została przez p. K. J. rozwiązana i wyjaśniona. W dalszym ciągu nie rozumiem, co znaczą słowa: „sporządzanie odpowiednich bilansów przez wykazywanie strat i zysków", skoro nie wiem, jakie to są „odpowiednie" bilanse i mam wątpliwość, czy będą niemi bilanse, wykazujące straty i zyski (z punktu widzenia buchalteryjnego jest to — nieporozumienie, z punktu widzenia istoty rzeczy — zero). „Zasady, przyjęte w rachunkowości prywatnej", o których tak pięknie wyraża się p. K. J., to — fikcja, marzenie, bo takich zasad wogóle niema. Oddziały bilansowe Izb Skarbowych mogłyby coś nie coś o tem powiedzieć. Autorzy podręczników buchalteryjnych również...

Czy gospodarka państwowa wykazuje w Polsce przerost? Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć, co gorsza — nie potrafi tego uczynić również p. K. J. W jaki sposób obliczono ów 18%-wy udział przedsiębiorstw państwowych w całokształcie obrotów gospodarczych kraju — nie wiem ani ja, ani p. K. J., co mu jednak nie przeszkadza powoływać się na prasę i dyskusje w Sejmie, jakby Związek Izb P. — H. nie dysponował bardziej konkretnymi faktami i materjałami. I o te konkretne materjały mi chodziło. Nie pisałem w „Kaznodziejstwie" o „niewłaściwem niepokojeniu opinji publicznej etatyzmem w Polsce", lecz napisałem zupełnie wyraźnie, iż „stwarzanie w słabo orjentującej się opinji publicznej sugestji o przeroście etatyzmu w Polsce" bez wyeliminowania obrotów państwowych przedsiębiorstw monopolistycznych lub do nich podobnych „wydaje się nieostrożnością". I nadal ten zarzut natury metodologicznej podtrzymuję.

Wyjaśnienia p. K. J. pozostawiły na uboczu tak zasadniczą kwestję, jak sprecyzowanie i zilustrowanie kryterjów podziału przedsiębiorstw państwowych na „zdrowe" i „chore". Przeszedł p. K. J. do porządku nad moją uwagą o „dwuch miarkach" i o niekonsekwencjach w zarzutach pod adresem przedsiębiorstw państwowych. Pominął moją (a raczej — powszechną) opinję o niskim poziomie sprawozdawczości przedsiębiorstw prywatnych. I nie dał ani jednego przykładu niewłaściwej działalności przedsiębiorstw państwowych, zasłonił się natomiast fragmentaryczną opinją Komitetu Ekonomicznego Ministrów z 1930 r., w której opracowaniu brał udział również niżej podpisany.

K. Sokołowski.

FANTAZJA PSZENICZNA.

Nadmiar fantazji u dziennikarzy gospodarczych jest niewątpliwie zjawiskiem ujemnem. Dzięki bowiem zbyt wielkiej elastyczności wyobraźni dziennikarz taki skłonny jest do sugerowania czytelnikom rozmaitych twierdzeń, które przy najlepszej woli przeciętnego „zjadacza chleba" wydadzą mu się nieprawdopodobne. Wprawdzie zjawiskiem szeroko rozpowszechnionem jest podawanie w okresie kanikuły letniej wiadomości o pojawieniu się „węża morskiego", lecz w życiu gospodarczem sezonowość rozmaitych zjawisk nie jest identyczną z sezonowością pojawiania się węża morskiego i nadchodzące lato nie stanowi dostatecznej przyczyny do podawania równie prawdopodobnie brzmiących wiadomości.

Od niedawna takim wężem morskim dziennikarzy gospodarczych stały się regularnie od pewnego czasu pojawiające się wiadomości, o ożywieniu na rynku towarowym, wywołanem przez podniesienie się poziomu cen pszenicy. Jeden z dzienniakrzy precyzuje nawet ostatnio, iż dała się zauważyć znaczna poprawa sytuacji w branży żelazno - metalurgicznej „ausgerechnet" dzięki zwyżce cen pszenicy. To doniesienie przekracza już zupełnie zdolność pojmowania przyziemnie myślącego ekonomisty!

Wysoki poziom cen pszenicy w Polsce jest wynikiem katastrofalnego nieurodzaju tego zboża w ostatnim roku. Zbiory pszenicy w 1932 r. stanowiły zaledwie 59,4% zbiorów 1931 r. Stąd naturalna tendencja zwyżkowa cen pszenicy, będąca prostą konsekwencją braku tego zboża na rynku krajowym. Należy przypuszczać, że ceny pszenicy (jak zwykle ma miejsce w latach nieurodzaju) poszły stosunkowo więcej w górę, niżby należało się tego spodziewać proporcjonalnie do gorszych rezultatów zbiorów. Można więc przypuszczać, że nastąpiła przez to poprawa siły nabywczej rolnictwa. Lecz poprawa ta musiała się zaznaczyć przedewszystkiem w okresie czasu gdy rolnicy sprzedawali to zboże, a więc na jesieni czy w zimie. Obecnie na wsi jedynie wyjątkowo można znaleźć pszenicę na zbyt. Znajduje się ona w rękach nielicznych handlarzy i młynów. W jaki sposób więc ostatnia zwyżka cen pszenicy miała się tak silnie przyczynić do ożywienia na rynku towarowym i dlaczego ci kupcy czy młynarze mają kupować akurat przedmioty metalowe — to już pozostanie tajemnicą tych

subtelnych djagnostów życia gospodarczego, którzy o tem donoszą.

Przy zrozumiałej trosce wszystkich czynników gospodarczych o wysoki poziom cen zbóż obecna cena pszenicy, przekraczająca w niektórych wypadkach cenę tego artykułu w Niemczech (które jak wiadomo posiadają najwyższy poziom cen zbóż na świecie) jest swego rodzaju anomalją, dającą się tłumaczyć jedynie tem, że ze względu na naszą ogólną sytuację gospodarczą nie stać nas na jej import. Niema jednak żadnej przyczyny, by z tak wysokiego poziomu cen pszenicy robić radosne zdarzenie w życiu gospodarczem, któreby miało się przyczyniać do zwiększenia rozmiarów konsumcji. Rolnicy wiedzą, że w przyszłym roku gospodarczym tj. po zbiorach cena pszenicy spadnie bardzo znacznie. Jest więc rzeczą bardzo wątpliwą, by nawet ci nieliczni z nielicznych rolników, którzy posiadają jeszcze pszenicę, sprzedając ją dzisiaj czynili większe zakupy o charakterze inwestycyjnym tj. np. nabywali „w branży metalurgicznej" — maszyny rolnicze. Tembardziej wątpliwe wydaje się to w odniesieniu do kupców i młynarzy. O ile zaś chodzi o artykuły bezpośredniej konsumcji — to już zupełnie mistycznie wygląda możliwość zwiększenia obrotów przez tak nieliczną warstwę uprzywilejowanych posiadacy pszenicy!

Zwyżka cen zboża stanowi dzisiaj pium desiderium wszystkich zajmujących się zagadnieniami poprawy gospodarczej. Są jednak zwyżki i zwyżki. Sezonowa zwyżka cen pszenicy w ostatnich czasach, nie stanowi etapu na drodze do tej wymarzonej poprawy.

A w okresie sezonowego braku wiadomości gospodarczych lepiej jest pisać o mniej ważnych objektach np. o mających się wkrótce pojawić jako „nowalijka" szparagach, nie stawiać djagnozy, które później ni stąd ni zowąd wyrastają do rozmiarów programu gospodarczego.

beewu.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.